

R.T. 376

Wydawnictwa rok VI
Dnia 19 marca 1928 r.

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy”

Nr. 237

GŁOS PRAWDY

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej



NIEDYSKRECJE

ZWYCIĘSTWO „JEDYNKI” w wyborach sejmowych zostało znakomicie rozszerzone i potwierdzone przez wybory senackie. Pytano często w czasie kampanii wyborczej: co to jest „jdynka”? Dzisiaj, można na to pytanie dać krótką, a wyczerpującą odpowiedź: „jdynka” jest blokiem sił i organizacji, które wspólnym wysiłkiem rozbiły, a nawet — jak się wyraża p. Stroński — rozgromiły Chjeno-Piasta, rozwalili endecję. Na pytanie: czym różni się ten blok od innych? — odpowiedź jest również nader prosta: tem, że żaden inny tego nie zrobił. I tu jest kres wszelkiej demagogicznej złośliwości publicystów socjalistycznych i innych doktrynerów liberalizmu. Albowiem polityka jest rozwiązywaniem zadań praktycznych, jest sztuką dobierania środków działania odpowiadających imperatywowi celowości i zmieniania ich, gdy celowość ich ustala. Nasi ortodoksyjni liberali przypominają nieco mistrzów ceremonii rosyjskiego dworu. Ci ostatni byli zdania, iż gwardja carska musi ośniewać świat barwami swych mundurów, a dwór zaćmiewać przepychem. Lecz wystarczyło pierwszej próby wojny, do jakiej powołana była gwardja, by wykazać całą jej bezwartość praktyczną i pierwszej próby ujawnienia się nastrojów narodu, które miał wyobrażać car, by został on zmieciony z powierzchni życia wraz ze swoim dworem, najbogatszym w świecie. Nasi doktrynerzy liberalizmu są zakochani w barwnej gwardji swoich haseł i bogactwie swych abstrakcyjnych wierzeń. I nie chcieli nigdy i dzisiaj jeszcze, przeważnie nie chcą widzieć, jak ten ich przepych beznamiętnego altruizmu, ubrany w formę haseł, odbija się jak od betonowej ściany, od gleby społecznej, nie przenikając do niej zupełnie, nie zapuszczając w nią swych korzeni, nie pociągając nikogo za sobą. Pozostają coraz bardziej osamotnieni, nie stanowią żadnej realnej przeszkody do rozpierania się na społecznym gruncie nacjonalizmu i reakcji, związanej mocnym węzłem korupcji w N. Demokracji. Tymczasem zagadnienie złamania tej ekspansji, zepchnięcia endecji powoli w niebyt, było od dawna już palącą koniecznością Demokracji, odpowiedzialnej przed historią nie tylko za siebie, nietylko za szerokie nasze masy pracujące, lecz i za Państwo. Piłsudski powołał w tym celu do życia „jdynkę”. Ponieważ cel częściowo został osiągnięty, koncepcja zatem była słuszna. Środek osiągnął swój cel, a zatem był trafny. Wszelkie inne rozumowanie w tej dziedzinie, jest pozbawione zrozumienia sedna rzeczy i do rzeczywistości w żaden sposób dostosować się nie da.

„JAKTO BĘDZIE Z TYM SEJMEM?” — pytanie to zaprzęta umysły świata politycznego i szerokiej opinii. Odpowiedź na to pytanie, oczywiście, może się obracać tylko w dziedzinie przypuszczeń. Czy bowiem w klubach poselskich lewicy zwycięży tendencja uprawiania opozycyjnej demonstracji lub też organicznej rzetelnej pracy państwowej? — czy rozbita i nieliczna prawica zejdzie z drogi prowokacyjnej, po której szedł p. Trąpczyński? — na te pytania wyjściowe dla sytuacji, jaka się wytworzy w sejmie, najbliższa przyszłość przyniesie dopiero odpowiedź.

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI CHCE WSPÓŁPRACOWAĆ Z SEJMEM. Jeżeli zatem chodzi o tę, najważniejszą, stronę sytuacji, jest ona już wyjaśniona. Marszałek stwierdził publicznie, iż poraz trzeci podejmuje próbę doprowadzenia do współpracy z sejmem, który uważa za „konieczną instytucję

obok Prezydenta i rządu”. „Byłem zawsze — oświadcza Marszałek — zwolennikiem konstrukcji państwowej konstytucyjnej...” Jest w tem zarazem odpowiedź na wszystkie nieszczerze strachy, czy aby Piłsudski nie jest wrogiem demokracji parlamentarnej. Nie jest, wyraźnie stwierdza, że nie jest. Logicznie rozumując, tem samem odpada podstawa wszelkiego względem niego opocycjonizmu lewicowego. Myślimy oczywiście o lewicy państwowej.

WYBÓR PREZESA SEJMU mieć będzie oczywiście poważne znaczenie dla dzieła współpracy rządu z Sejmem. Marszałek Piłsudski przykłada do osoby prezesa zrozumiałą wagę, wysuwając ze swojej strony, jako kandydata, prof. Bartla. Jakkolwiek nieznanne jest dotychczas ustosunkowanie się do tej kandydatury najliczniejszego w sejmie klubu „jdynki”, należy wyrazić przypuszczenie, iż otrzyma ona większość głosów albowiem trudno przypuścić, by większość Sejmu decydowała się na ten konflikt z Marszałkiem i wszystkie zeń płynące konsekwencje.

OPINJA DEMOKRATYCZNA ZACHODU powitała wynik wyborów w Polsce z żywą sympatją. Za wyjątkiem pism skrajnie lewicowych, które, nie znając dokładnie naszych warunków, opatrzyły swe komentarze zastrzeżeniami, nie tyle co do wyniku, ile co do charakteru wyborów, cała niemal prasa europejska i amerykańska dopatruje się w zwycięstwie bloku współpracy z rządem i w rozbięciu partyjnictwa nacjonalistycznego wzmocnienia wewnętrznego państwowości polskiej, które przyczyni się również do podniesienia prestiżu Rzeczypospolitej wśród państw świata. Jest rzeczą znamionną i dowodem coraz lepszej orientacji prasy zagranicznej w sprawach polskich, iż łączy ona triumf wyborczy Marszałka Piłsudskiego z dążeniami pokojowymi Polski oraz z postępem pacyfikacji Europy środkowej i wschodniej. Szowinizm narodowy to największy wróg pokoju, a jest on właściwie kamieniem węgielnym całej ideologii wojującej endecji oraz jej przyboczników. Fakt, iż mocna dłoń i racja stanu Komendanta w rekordowo szybkim czasie potrafiły wyzwolić umysły i serca znacznego odłamu społeczeństwa polskiego z niewoli endeckiej jest zjawiskiem pierwszorzędnej wagi, którego doniosłość przekracza granice lokalne. Zrozumieli to i odczuli zagraniczni obserwatorzy Polski. Zrozumieli oni również, iż pomiędzy polityką rozbudowy nowej, twórczej demokracji polskiej, opartej nie na formułach papierowych, lecz na wymogach życia, a faszyzmem włoskim niema cienia podobieństwa. Przyznają to bez zastrzeżeń nawet organy prasowe socjalizmu europejskiego. Nie pomogły skalowania melancholików pepeesowskich, usiłujących zbałamucić opinię zagraniczną fałszywymi analogjami. Nie będziemy tu przytaczać głosów prasy angielskiej, francuskiej, niemieckiej, austriackiej, amerykańskiej i t. d. Wystarczy zauważyć, iż cała niemal postępowa prasa narodów, dla których pojęcia: demokracja i parlamentaryzm są zagadnieniami praktyki życiowej i podstawami ustroju politycznego, lecz które, każdy na swój sposób, rozwijają je i dostosowują do własnych warunków, — ta właśnie prasa, że wymienimy tu londyński „Times”, nowojorski „New York Times”, „Temps”; „Berliner Tageblatt”; „Vossische Zeitung”; „Neue Freie Presse”; „Journal de Genève” i t. d. wysunęła na plan pierwszy jako zasługę Komendanta i sukces wyborów ostatnich, znaczny wzrost żywiołów demokratycznych w Polsce, widząc w tem najlepszą gwarancję naszego rozkwitu państwowego i ugruntowanie pokoju z naszymi sąsiadami. Że zwycięstwo te osiągnięte zostało

własnymi metodami, bez kopjowania obcych wzorów, świadczy to tylko, w rozumieniu zagranicy, o jego głębokich i trwałych fundamentach.

**

RYWALIZACJA WŁOSKO-BRYTYJSKA na morzu Śródziemnym zarysowuje się coraz dobitniej. Dążność Mussoliniego do wskrzeszenia imperjum Rzymskiego, panującego nad wodami morza Śródziemnego, agresywna polityka faszystów na północnym wybrzeżu Afrykańskim (sprawa Tangeru), stanowi przestrożę dla Wielkiej Brytanji przed odrodzonym i pełnym energii imperjalizmem włoskim. Pewien argument w pertraktacjach anglo-egipskich, (gdy rząd brytyjski temuż uzasadnia swą odmowę wycofania wojsk z Egiptu, iż wówczas mogłyby opanować kraj „obce siły”), daje asumpt do przypuszczeń, że Anglicy poważnie liczą się z konkurencją włoską. Z tych zapewne względów największa podstawa morska Wielkiej Brytanji na morzu Śródziemnym — wyspa Malta przyrównana została w prawach do dominjów Imperjum Brytyjskiego. Dziwnie są zaiste zrzędzenia losu skoro Indie i niektóre inne kolonie od wielu lat naprzód walczą o samorząd, podczas gdy niewielka i różnorodna ludność wysepki Malty obdarzona została niemal samodzielnością!

**

MORALNOŚĆ HOTENTOTÓW znajduje prawo obywatelstwa w Europie. Znana jest zasada dzikich murzynów: jeśli ci ukradną żonę — będę w porządku, lecz zbrodnię popełni ten, kto uprowadzi moją żonę. Podobnie rozumuje faszystowski organ „Giornale di Sicilia”, miotający gromy na Anglików, przesładowanych pono mową włoską na Malcie. Dzieje się to właśnie w chwili, gdy „italjanizacja” południowego Tyrolu w najbardziej bezwzględny sposób przeprowadzana, rugując niemal zupełnie język niemiecki z Brenneru, doprowadziła do ostrej wymiany zdań premierów Austrii

TRZY KONSTYTUCJE

W siódmą rocznicę uchwalenia Konstytucji Odrodzonej Rzeczypospolitej przez Sejm Suwerenny (17 marca 1921) i w przededniu podjęcia przez sejm pracy nad jej przebudową, nie od rzeczy będzie przypomnieć na tem miejscu głębokie i pełne trafnych spostrzeżeń uwagi krytyczne o tworze Sejmu Suwerennego, ogłoszone w swoim czasie w ankiecie prof. Leopolda Janowskiego, a szerszemu ogółowi nieznanie. Uwagi te mogą się stać punktem wyjścia dla rozważań w zakresie reformy ustroju naszego Państwa i ułatwić ewentualną w przyszłości dyskusję. Polecamy ją pilnej uwadze naszych czytelników. **Redakcja.**

Zaszczycony wezwaniem do wyrażenia zdania o naszej Konstytucji, znalazłem się w kłopotcie, albowiem przypomniało mi się łacińskie przysłowie: „ne sutor ultra crepidam”.

Stawać bowiem — nie będąc prawnikiem — w jednym rzędzie ze znakomitymi znawcami prawa politycznego, jest imprezą śmiałą.

Nie mniejszą jednak odwagą jest samo praw układowanie i uchwalanie w sejmie, który nietylko nie składa się ze samych znawców politycznego prawa, ale przeciwnie, z przeważającą większością ludzi tego prawa nie znających, a nawet od elementarnych zasad jakiegokolwiek wiedzy dość dalekich.

i Włoch. Najmniej praw do upominania się o ochronę kulturalną mniejszości narodowych mają faszyci, odmawiający tej ochrony swym mniejszościom germańskiego i słowiańskiego pochodzenia.

**

OSTATNIA DESKA RAIUNKU TORYSÓW po licznych niepowodzeniach wyborczych przy dodatkowych wyborach do parlamentu i po porażce w głosowaniu do Rady hrabstwa Londyńskiego są... młode kobiety. Wzrastające wpływy liberałów, niebezpieczna konkurencja partji robotniczej — zmuszają konserwatystów do posunięcia, któreby im umożliwiło wyjście z honoru przy wyborach do parlamentu, mających odbyć się w roku przyszłym. W poszukiwaniu przychylnych sobie wyborców torysi zdecydowali się rozszerzyć prawo wyborcze kobiet, rozciągając je na kobiety od roku 21-go (dotąd prawo głosu miały kobiety, liczące powyżej 30 lat). Anglja jest odwiecznym krajem paradoksów, do takich też należy zaliczyć wniesienie do parlamentu „Billu wolnościowego” przez ministra spraw wewnętrznych sira Williama Joynson-Hicksa, jednego z najskrajniejszych reakcjonistów angielskich, wyraziciela dążeń konserwatywnych „die harów”, wówczas gdy w wielu innych krajach przodująca w demokracji lewica radykalna daremnie usiłuje uzyskać zgodę elementów konserwatywnych na udzielenie praw wyborczych kobietom. — Według obliczeń urzędowych reforma wyborcza rządu Baldwin'a stworzy znaczną przewagę kobiet wyborczych, których ilość wzrośnie z 5,240.000 do 14 i pół miliona, przy 12,500 tysiącach uprawnionych do głosowania mężczyzn. Aż do przyszłych wyborów powszechnych pozostanie zagadką, czy „Flappers bill” uratuje konserwatystów od niechcianej porażki, czy też okaże się koniem Trojańskim, wprowadzonym do twierdzy angielskiej reakcji, aby ją zdobyć siłą zdradzieckich niewiast.

Zyjemy jednak w czasach parlamentaryzmu, a jak długo ten okres trwać będzie, tak długo żadna ustawa nie będzie wyrikiem wiedzy prawniczej ani politycznej, ale będzie wynikiem kompromisu zwalczających się w łbie stronnictw.

Chyba zatem pewna znajomość naszych stronnictw, nabyta w ciągu dość długiego czasu, kiedy brałem czynny udział w życiu parlamentarnem, dałaby mi pewne prawo do zabrania głosu.

Wierzę też w prawdę: *historiam vitae esse magistrum*, i w istocie wspomnienie danych momentów z naszych dziejów najcenniejszym mi zawsze było drogowskazem w życiu parlamentarnem.

Rzecz pragnąłbym opizeć na tych właśnie założeniach, ale przede wszystkim ująć ją ze stanowiska pozastronniczego.

Państwo własne, jego siła i doskonałość ustroju, winny być jedyną myślą przewodnią i jedyną pobudką wszystkich politycznych poczynań, a myśli państwowej podporządkować się muszą programy wszystkich stronnictw.

Wkońcu, dyletantom się czując, roztrząsania poszczególnych artykułów unikać muszę, natomiast tak Czcigodnych, ze mną w tym przedmiocie Współpiszących, jak i fachowego Czytelnika o pobłażliwość i wyrozumienie proszę.

I.

Konstytucja 17 marca 1921 r. jest trzecią z rzędu konstytucją polską, we właściwym słowa znaczeniu, t. j. Ustawą nie przez władzę nadaną, ale przez czynniki polityczne zbudowaną.

Dwie pierwsze, t. j. Konstytucja Aleksandra Jagiellończyka z r. 1505 i Konstytucja Sejmu Czteroletniego z 3 maja 1791, poczęte były z tego względu pod nieszczęsną gwiazdą, że pierwsza z nich była za wczesną, a druga za późną.

Wszystkie zaś trzy różnią się pomiędzy sobą zasadniczo, co do przewodniej politycznej myśli.

Konstytucja z r. 1505 stworzyła nowożytny już ustrój parlamentarny, rozkładając zakres władzy na trzy czynniki: króla, jako przedstawiciela Państwa i władzy wykonawczej, Senat, jako władzę kontrolną, i Izbę posłów, jako ciało ustawodawcze.

Konstytucja z r. 1791 usiłuje, po doświadczeniach wieków, wzmocnić władzę wykonawczą i unormować równowagę wewnętrznego układu.

Konstytucja z r. 1921 ma charakter wprost przeciwny do obu pierwszych, bo obala zupełnie znaczenie i wpływ władzy wykonawczej i znosi kontrolę.

Obie zaś te atrybucje władz do tego powołanych przenosi na Izbę posłów, jako na przedstawicielstwo suwerennego narodu.

Przewodnią myśl pierwszej nazwałoby można parlamentarną, drugiej państwową, trzeciej republikańską, może nawet właściwiej: rewolucyjną.

Przypomnijmy sobie ich najogólniejsze zasady i okoliczności, w których powstawały.

Kazimierz Jagiellończyk, największy z władców tej dynastii, dążył do złamania wpływu zanarichizowanego możnowładztwa.

Ten wpływ był wynikiem faktów, przez to możnowładztwo stworzonych, jak: unja z Litwą — umiejętnie przygotowana i zwycięska wojna z krzyżackim zakonem, osadzenie nowej dynastii na tronie i wyniesienie państwa do rzędu pierwszych mocarstw europejskich.

Państwa europejskie przeżywały takie okresy możnowładczych rządów, zarówno jak okresy ich łamania przez potężnych umysłem i silną wolą władców.

Różnica polega na tem, że na Zachodzie przeobrażanie się państw kończy się utrwaleniem absolutyzmu monarchów, a w Polsce przekształceniem państwa z monarchicznego na nowożytne, parlamentarne.

Wynikł ten ustrój Polski z kilku przyczyn:

1) Przeżyte już możnowładztwo XV-go wieku straciło poczucie państwowe i stało się żywiołem anarchicznym;

2) Król, aby jego wpływ złamać, szukał oparcia na innym żywiole;

3) Nowy ten żywioł zaczął dojrzewać do roli politycznego czynnika;

4) między władcami ówczesnej Polski nie było człowieka-tej miary, co potężne postacie monarchów Zachodu.

Nowym żywiołem była w XV-tym wieku szlachta, która, mniej więcej, odpowiada dzisiejszemu,

do roli czynnika politycznego dojrzewającemu ludowi.

Znamienną jest rzeczą, że okres przeobrażania się państwa rozpoczyna się właściwie buntem przeciw ojczyźnie, bo inaczej nie można zwać stanowiska szlachty, kiedy na polach Nieszawy wymuszała słynny Statut Nieszawski groźbą odmówienia ojczyźnie służby w potrzebie.

Szlachta, jako ówczesny „Naród“, zaczęła się czuć powołaną do roli politycznego czynnika. Król wyzyskał jej ruch dla stworzenia przeciwwagi wpływom dla Państwa szkodliwym. Statut Nieszawski zapoczątkował nowy okres, który, w danych warunkach, przy talentach i charakterach królów, mógł dać najświetniejsze wyniki.

Z tem wszystkim, bunt przeciw ojczyźnie w potrzebie pozostanie faktem, jak również pozostanie faktem jakaś nieubлагana a nanka, snująca się przez dzieje Polski w roli matki narchicznego myślenia.

Teraz trzy pytania:

1) Czy naród, budzący się ledwie do życia politycznego, nie mogący zatem mieć żadnej dalszej myśli politycznej, żadnego programu określonego na dalszy okres czasu; a konsekwentnie przeprowadzonego przez kilka pokoleń, — czy naród, który nie mógł podówczas wybiegać myślą poza szranki wewnętrznych spraw i równowagi wewnętrznych wpływów, czy ten naród był dojrzałym do poprowadzenia państwa do rozwoju i potęgi?

2) Czy naród, który nie przebył twardej szkoły, jaką przeszły narody Zachodu, tak przerastające dzisiaj Polaków swoim poczuciem państwowym, a wychowane w szkole, która rozwiązywała ręce rządcom na zewnątrz i na wewnątrz, w szkole, w której narody się uczyły poczucia państwowego, szacunku dla prawa, uznania potrzeby silnej władzy wykonawczej — czy ten naród, który w takiej szkole nie był, mógł być dojrzałym do samowładania?

3) Czy zatem Konstytucja 1505 r. nie była za wczesną?

Na te pytania dzieje dały odpowiedź: rozbiór Polski.

Konstytucja 3-go Maja 1791 r. powstaje, jak wiadomo, pod groźą nadciągającej, a już nieuniknionej katastrofy.

Instynkt samozachowawczy rozszerza widnokręgi myślenia, budzi poczucie potrzeby wzmocnienia władzy wykonawczej, rozszerzenia udziału w życiu państwa na inne stany.

Wszystko jednak za późno, bo w przededniu upadku.

Mimo to, Konstytucja 3-go Maja 1791 pozostała pomnikiem ocknięcia się narodu i urodzin myśli politycznej oraz poczucia państwowego.

To chyba musiał mieć na myśli Sejm dzisiejszy, uchwalając wstęp do Konstytucji 17.III.1921, gdzie „nawiązuje do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja“.

Obaczmyż, czy to nawiązanie wyraża się w myśli przewodniej dzisiejszej Konstytucji, czy tylko w pięknym, retorycznym zwrocie?

II.

Okres niewoli i podziałów, wyprowadza na światło dzienne — i to tak z mroku dziejów, jak i z duszy polskiej — wszystko to, co Konstytucja 3-go Maja, chciała z niej raz na zawsze usunąć.

Opór wobec władzy, staje się cnotą narodową i obywatelską — obejście krzywdzącego, obcego prawa — warunkiem obrony życia narodowego, poczucie państwowe — zdradą władzy własnej.

Każda zaś, choćby najbardziej przewrotowa, antypaństwowa zasada, siłą negacji istniejącego porządku, raczej bezprawia, porywa nietylko umysły młodsze, ale wszystkie gorętsze, bo ukazuje gdzieś w przyszłości zburzenie przemocy, która nas gniecie. Cel oczywiście negatywny.

Zycie i rozwój narodu streszcza się w negacji i uporze, w nienawiści do istniejących państwowości, w poczuciu niesprawiedliwości, prawem zawarowanej.

Usiłowań, zdążających w imię przyszłości Polski do wyrobienia cnót państwowych, choćby w warunkach niewoli i ramach obcych państw, naród oczywiście zrozumieć nie mógł, bo w jego duszy tkwiła wiara w przejściowość czasu niewoli, a w sercu nienawiść i opór przeciw zaborcom.

Stan ten jednak nie był wcale odpowiedniem przygotowaniem narodu do dzieła tworzenia Konstytucji z celem utwierdzenia państwa, wyrobienia poczucia państwowego i poszanowania prawa.

Prócz tego, na czas niewoli przypada okres dojrzewania ludu.

Lud roboczy wyrabia się pod wpływem zasad międzynarodowego socjalizmu, który wprowadził rozkładał imperja zaborcze, ale równocześnie identyfikował ideę państwowości polskiej z najgorszym wstecznictwem.

Lud rolny, kiedy Polska nie mogła rozwinąć już zasad Uniwersału Połanieckiego Kościuszki i wciągnąć go do pracy nad odbudową państwa własnego, staje się bezwiednym narzędziem w ręku zaborców, którzy go obracają przeciw przyszłemu, własnemu państwu.

Lud ten nie mógł przed rozbiorem wyrobić w sobie poczucie państwowych, zato wyrobił je sobie w państwach obcych, niestety — nie z myślą o własnym państwie i był podporą państw wrogich, które mu imponowały i w korbach oraz ciemnocie trzymały, wyrabiając w nim, tak szkodliwe dla przyszłości Polski, a tak przeciwne myśli 3-go Maja poczucie, nie polskie, ale ściśle i zacięcie stanowe.

Chłop polski stał się narodem w narodzie.

Warstwy oświecone nie nabywają w tym okresie cnót państwowych, bo anarchja, będąca na rękę zaborcom, a okryta piękną szatą drogiej tradycji, wybijała jak przed rozbiorem.

Filozofja pozytywna wyrobiła doktrynerski, książkowy liberalizm i wygodną, bo uwalniającą od samodzielnego myślenia zasadniczość; warunki trzech państw wyłobliły silne piętno na umysłowości trzech zaborców, a tarcie stronnictw, wobec braku własnego państwa, stało się celem samo dla siebie.

Tak przygotowane społeczeństwo stanęło wobec zadania uchwalenia Konstytucji, którego to zadania dokonał Sejm, wybrany w najgorętszym ogniu rewolucji.

III.

Kiedy z państwem jest już bardzo źle, wtedy zwyczajnie, ludzie odwołują się do t. zw. cnoty obywatelskiej, na której „stoi Rzeczpospolita“, osobliwie „parlamentarna, jako najtrudniejsza forma rządów“.

Rozważmy co to jest cnota obywatelska.

Czy jej wyrazem jest ów szlachcic XVIII wieku, pełny, jak puszka Pandory, wszelkich cnót obywatelskich i ludzkich, ale nie poczuwający się do obowiązku osobistych świadczeń na rzecz państwa?

Czy jest nim żywiol, który, uważając się za ostoję państwa i uznając swoje prawo do rządzenia państwem, nie chce płacić daniny ani podatków, ani też iść pod chorągwie w potrzebie?

Czy jest nim ów rezoner, który nie poszedł na wojnę, w obawie, aby w czasie służby jego, obcy nie zajęli ważnych stanowisk w kraju?

Czy jest nim patriota, który w obawie o Polskę oskarża własnych współobywateli przed *forum externum*?

Możnaby wiele takich przejawów cnót obywatelskich wyliczyć, jak np. zazdrość stronnictwa, nie dopuszczająca do możliwości kompromisu i t. d., ale może lepiej stwierdzić, że t. zw. „cnota obywatelska“ nie istnieje, jako rzecz jakaś przyrodzona, bo ludzie są ludźmi, a frazeologia nie jest czynem.

Cnoty obywatelskiej musi się naród nauczyć, tak jak się jej nauczyły zachodnie narody.

Musi się jej nauczyć w jakiejś szkole, gdzieby mu wpojono w umysł i zastrzyknięto w krew pojęcie, że państwo i jego potrzeby są rzeczą wyższą od punktów widzenia różnych stronnictw, a nawet wyższą od własnej namiętności.

Szkołą taką winna być Konstytucja, przejęta nawskroś i wyłącznie duchem państwowym, z odrzuceniem doktryn, a podporządkowaniem interesów stronnictw czy ludzi potrzebom państwa.

Nasuwają się dwa pytania: czy Konstytucja 17.III.21 może być taką szkołą, i czy jest ona rozwinięciem zasad Konstytucji 3-go Maja, jak to wstęp zapowiada.

IV.

Zasadą Konstytucji jest suwerenność narodu, t. zn., że Państwo jest tego narodu organem.

Tak chce teoria, ale praktyka, przynajmniej u nas, mówi coś przeciwnego.

Państwo potrzebuje wojska.

Naród uważa za nieszczęście iść pod chorągwie.

Państwo potrzebuje pieniędzy.

Naród nie chce ich dawać, a zmuszony, wykręca się i kłamie pod przysięgą.

Państwo potrzebuje silnej władzy wykonawczej.

Naród niczego się tak nie boi i przed niczem niema większego wstępu, jak właśnie przed sprężystą władzą.

Państwo wymaga poszanowania prawa.

Naród uważa każdą ustawę za srogą i nieznośną tyranję.

I naród przeprowadza swą wolę i swój punkt widzenia, bo jest suwerenem, a Państwo jego organem.

Przeprowadza przez swoje przedstawicielstwo, t. j. Izbę posłów.

Co to jest Izba posłów?

Jest to zgromadzenie przedstawicieli najprzeznaczniejszych interesów, które się ze sobą, nie tylko w imię Państwa, ale w żadne imię na świecie, pogodzić nie dadzą.

Ci przedstawiciele zaś, nie mogą iść za interesem państwa, tylko iść muszą za interesem wyborców, boby drugi raz nie byli wybrani.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze rzecz tak nieokreśloną, jak cnota obywatelska, to stwierdzimy, że mimo frazeologii, Izba posłów miała właściwie za zadanie stworzyć taką Konstytucję, któraby nie dopuściła do utworzenia silnej władzy wykonawczej, zabezpieczyła naród przed zakusami rządu, a zwłaszcza skarbu, a ograniczyła do minimum obowiązki obywateli wobec państwa.

Przynać trzeba, że Konstytucja 17.III.1921 zadanie to spełniła, a spełniła je zapomocą przerwania wszystkich kompetencyj władzy wykonawczej i ciała kontrolującego na Izbę posłów.

Przedewszystkiem Naczelnik Państwa przestaje być Naczelnikiem a zostaje Prezydentem Rzeczypospolitej.

Nie jest to rzeczą powierzalną i wynika nie tylko z wrodzonej Polakom manji naśladownictwa i snobizmu, spowodowanej opóźnieniem w rozwoju kulturalnym.

Zmiana taka zawiera już w samym znaczeniu tych dwóch wyrazów tendencję Konstytucji: ograniczenie do możliwego minimum władzy wykonawczej, a zwłaszcza jej obecnego przedstawiciela, który jest zarazem przedstawicielem państwa.

Jest ona także znamieną oznaką „cnoty obywatelskiej“, która ma przenikać „naród suwerenny“.

Przedstawiciele tego narodu, starający się zmniejszyć wpływ i sprężystość władzy wykonawczej, kierowali się tu nie tylko względami zasadniczymi.

Ukrytym powodem tego stanowiska jest kwestja partyjnej a nawet osolistej namiętności, bo nie trzeba być ani znawcą prawa, ani człowiekiem zbyt przenikliwym, żeby wiedzieć, że gdyby o iną osobistość chodziło, ci sami posłowie, którzy dziś obdzierali Naczelnika Państwa z władzy, staliby w innym wypadku na zasadzie skrajnego absolutyzmu, i woleliby tytuł zawierający w swem znaczeniu coś, coby stanęło w kolizji z pierwszym artykułem Konstytucji.

Ze względu na powoływanie się na tradycję, napomknąć się godzi o tej tradycji i aureoli, jaka otacza tytuł Naczelnika, tytuł który nosił Kościuszko, a który byłby nie tylko nawiązaniem do przerwanej na czas długi niepodległości, ale byłby przedewszystkiem określeniem naszym własnym, czysto polskiem, a nie przeniesieniem żywcem z języka obcego.

Zadna z konstytucyj zachodnich nie zna takiego ograniczenia urzędu przedstawiciela państwa i jego władzy wykonawczej, jak właśnie nasza z 17.III.

Konstytucja ta, nawiązująca do świetnej tradycji 3-go Maja, jest jedyną w Europie, która usuwa w zupełności Prezydenta Rzeczypospolitej od wpływu na ustawodawstwo, odbiera mu prawo weto zawieszającego, jak i prawo rozwiązania Sejmu.

Zewnętrznie wydaje się to prawo tylko ograniczonym warunkiem $\frac{1}{3}$ głosów Senatu.

Kto jednak ma trochę doświadczenia politycznego, a wie, że Senat wypłynie przy wyborach z tych samych stronnictw, co Izba poselska, ten wie także, że Senat będzie tylko obrazem Sejmu, z tą różnicą, że pozbawiony prawa kontroli, nigdy w żaden zatarg z Izbą posłów nie wejdzie, i nigdy Sejmu, z którym samby musiał ustąpić, rozwiązywać nie pozwoli.

W polityce zagranicznej Prezydent Rzeczypospolitej będzie miał szersze nieco atrybucje, ale tylko w zakresie zewnętrznej reprezentacji.

W dyplomacji jest on artykułem 49 zupełnie uzależniony od Sejmu. Wobec tego nie może być mowy o żadnej dalszej, planowej, celu świadomej polityce zagranicznej.

W tym względzie Konstytucja 17.III.1921 nawiązała istotnie do tradycji, ale nie 3-go Maja, ale do tradycji z przed Sejmu Czteroletniego, kiedy to w gabinetach państw ościennych widziano wszystko, co się w Polsce dzieje, a w Polsce nie widziano nic zgoła, co myślą i mówią o nas w innych państwach.

Czy zapanowano, czy pominięto umyślnie milczeniem znany i stwierdzony pewnik:

Wszelka władza, złożona w ręce człowieka, stwarza jego odpowiedzialność.

Im więcej władzy mu powierzono, tem większa jest ta odpowiedzialność.

Odpowiedzialność zaś wznosi człowieka ponad rzeczy drobniejsze, t. j. ponad walkę stronnictw, każąc mu patrzeć, już dla samego zabezpieczenia się, z punktu widzenia zagadnień wyższych, t. j. interesu państwa.

Człowiek zaś obarzony władzą i obciążony odpowiedzialnością, stojący z tego tytułu ponad stronnictwami, musi być otoczony, jako elekt narodu, pewnym nimbem, pewnym szacunkiem, już dla samej godności tego narodu.

Tak pojmowało władzę społeczeństwo, które stworzyło niedościgniony dotąd wzór Rzplitej parlamentarnej, t. j. Rzymianie, umiejący zawarować wolność rzymskiego obywatela silną, o szerokim zakresie władzą przedstawicieli państwa i urzędników.

I dlatego w starożytnym Rzymie może być mowa o cnotce obywatelskiej, — w Polsce dzisiejszej nie.

Jeżeli zaś o tradycję 3-go Maja chodzi, to artykuły o władzy wykonawczej a zwłaszcza o Prezydencie Rzplitej, są zaprzeczeniem tradycji, są zupełnym wyrzeczeniem się jej, wyrzeczeniem się ducha i myśli przewodniej Konstytucji 3-go Maja 1791.

Szkoda czasu na pustą, a nieprawdziwą frazeologję.

Rząd sam, nie jest rządem niezależnym. Ministrowie są tylko niewolnikami stronnictw, a innymi być nie mogą, bo Prezydent mianować może tylko tych, których mu Izba przedstawi.

Słyszysz się często i czyta w gazetach wołanie o silny rząd.

Konstytucję jednak pomyślano w ten sposób, aby nigdy nie było możliwym utworzenie silnego rządu.

Odpowiedzialność ministrów reguluje Art. 58 w sposób nigdzie nie praktykowany, ale w istocie „bardzo prosty“, iście spartański.

Wedle tego artykułu „Naród“, oczywiście przez Izbę posłów, kiedy mu wzbierze temperament i stronnictwa się nie zgodzą, wyrzuca najpotrzebniejszych ministrów, bez żadnych utrudnień ani następstw.

Ciało, mające zadanie kontroli, zostało tego swego prawa zupełnie pozbawione, chociaż, po długich targach pozwolono mu pozostać przy życiu.

V.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, już po uchwaleniu Konstytucji, zdarzył się szereg wypadków, które jaskrawo ilustrują tak zasadę rządów narodu i jego stosunku do państwa, jak i skutki myśli przewodniej Konstytucji.

Minister Skarbu, chcąc ratować państwo z rozpaczliwego położenia finansowego, wniósł projekty do tego zdążające.

Zaraz zerwała się burza, bo „Naród“, przedstawiony przez stronnictwa zaczął te projekty zwalczać, a stronnictwa te rozumowały w ten sposób:

„Jeżeli już koniecznie trzeba ratować to nieszczęsne państwo, to niech się to stanie kosztem innego, byle nie mojego stronnictwa“.

Wyjaśnia to dostatecznie nasze twierdzenia o stosunku narodu do państwa.

W innym wypadku Sejm suwerenny sięgnął do tradycji, nawet dość głęboko, bo do r. 1717, do tak zwanego Sejmu pacyfikacyjnego, który po raz pierwszy w dziejach zgodził się na „medjację“ Piotra Wielkiego i pozwolił na wtrącanie się obcego mocarstwa w stosunki wewnętrzne niezawisłego dotąd państwa.

Wypadek z usłużnym wiceministrem, godzącym się na to, aby poseł rosyjski dyktował rządowi polskiemu, kogo ma skazać na wygnanie z granic niezawisłego Państwa Polskiego, dość żywo przypomina rok 1717, a obojętne zachowanie się Sejmu, nawet obrona usłużnego obcym urzędnika ze strony jego partji, nie świadczy ani o zrozumieniu istoty niepodległości i państwa, ani o poczuciu godności narodowej.

A wreszcie zasada usuwania Głowy Państwa od wpływu na bieg spraw państwowych doprowadziła do załagodzonego, na szczęście, konfliktu mogącego spowodować nieszczęście ustąpienia Naczelnika Państwa, i to w chwili kiedy się ważyły sprawy najważniejszych, i kiedy uprzedzona opinia

silniejszej od nas Europy śledzi podejrzliwie rozwój wypadków w Polsce *).

Czy może w tych warunkach być mowa o wielkiej linii politycznej Polski, o jej dalekich i na długie okresy czasu zakreślonych planach politycznych, o zrozumieniu i wykonaniu jej misji dziejowej.

Czy może być mowa o takiej organizacji wewnętrznej, któraby państwu nietylko zapewniła wpływ na zewnątrz i stwierdziła jego rację istnienia, ale wprost dała bodaj tyle siły, żeby nie dopuścić do drugiej katastrofy rozbioru?

I jak może być o tem mowa, skoro nie tylko w Konstytucji przejawia się z każdego nieledwie artykułu, wstręt do silnej władzy i europejskiej organizacji, ale w życiu samem niema żadnego poszanowania ani dla władzy i symbolu państwa, ani dla prawa? Skoro część „suwerennego narodu“ wypowiedziała symbolowi państwa i jego przedstawicielowi walkę tak zaciętą, jaka się jeszcze nigdy, w najgorszych czasach upadku myśli państwowej, w przedrozbiorowej Polsce, nie ujawniła?

W porównaniu zatem z Konstytucją 1505 r. wydaje nam się dzisiejsza Konstytucja być o tyle do niej podobną, że jest, jak tamta, zawczesną, na dzisiejszą dojrzałość narodu i na dzisiejszy brak wyrobienia państwowego, oraz na zupełny brak owej „cnoty obywatelskiej“, która ma być filarem Rzplitej.

Szkołą dla narodu, w którejby się tej cnoty uczył, Konstytucja ostatnia nie będzie, raczej być może szkołą deprawacji myśli państwowej.

Szkoda zatem, że, jeżeli już koniecznie trzeba było kogoś naśladować, wzięto wzór francuski, który jest dobrym dla Francji, ale nie dla Polski, nie posiadającej tych, co Francja, warunków i kwalifikacyj.

O wiele — naszym zdaniem — korzystniejszym w skutkach byłby wzór Ameryki, której chyba „republikańskich“ zasad i myśli odmawiać nie można.

Twórcy Konstytucji, tak samo jak sejmy starej Rzplitej, nie mieli czasu, a może i chęci czy pamięci, żeby pomyśleć o naszych dwóch sąsiadach, z których zachodni jest wzorem organizacji i silnej władzy, a który, od chwili utraty swego zaboru, gotuje się do jego odzyskania.

Zapomniano i o drugim, wschodnim. Może nawet nie zapomniano, może wobec tego sąsiada chciano być jaknajwiększym, jak najmniej przewidyującym.

Dość, że nigdy w sejmie nie podnoszono kwestji niebezpieczeństwa z tej strony, w myśli stworzenia takiej organizacji państwowej, któraby targnięciu się na naszą niepodległość przeszkodzić mogła.

Nie uczyniono tego nawet po doświadczeniu z r. 1920.

Natomiast, jakby różdżką czarodziejską wywołane, odżyło wszystko, co było złem w XVIII wieku, napełniło sale sejmowe i tworzyło konstytucję.

*) Artykuł pisany w połowie 1922 r. (Przyp. wydawcy).

Powolywano się na Konstytucję 3-go Maja.

Obawiamy się i nie życzymy nowej Konstytucji jednego tylko podobieństwa do Konstytucji majowej, choć radzielibyśmy byli, gdyby we wszystkim innym, była, jak nią nie jest, podobną.

Oto w jednym niech nie będzie dzisiejsza ustawa podobną do majowej: niech nie będzie, jak tamta, za późną!

Ale życie przed Polską, a złem jest nie to, co się da naprawić, ale złem jest zła intencja.

Złem jest nie brak doświadczenia, nie niski poziom uświadczenia, bo to wszystko naprawić można, bo życie to najlepszy lekarz na książkowe doktryny.

Złem natomiast jest brak cywilnej odwagi, aby zerwać z doktryną, złem jest brak cywilnej odwagi, aby stanąć w sprzeczności — w imię interesu państwa — z rozagitowanymi a nieświadomymi wyborcami, złem jest karierowiczowstwo i upadek etyki politycznej.

Życie rozwieje wiele doktryn, złagodzi wiele namiętności, czas uleczy wiele ran, a da wiele doświadczenia.

Siła zaś życiowa narodu, uwolnionego z pięć wiekowej niewoli, wyłoni kiedyś przedstawicielstwo, które stanie w imię państwa do pracy nad Konstytucją.

WŁODZIMIERZ TETMAJER

O ZBIOROWEJ PRACY

(Przemówienie Józefa Piłsudskiego, wygłoszone przed fonogramem w Sulejówku zimą 1926 r.)

Człowiek jakoby ujarzmił żywioły, żywioły nie jego ręką wytworzone na naszym padole płaczu. Żywiołów dawniej liczono zaledwie kilka, ale liczba ich rośnie, prawie z roku na rok. Zaprzęga je człowiek do roboty, jak jakie woły robocze: woda więc obraca koła, słońce ogrzewa pola, elektryczność pracuje we wszystkich kierunkach, ogień daje ciepło. Powtarzam: woły robocze czyni z elementów człowiek i dumny jest z tego, że dzieło nie-swoje opanował i zmusił do niewolniczej roboty dla swojej jedynie wygody. Lecz nie spostrzega, że żywioł będący w codziennej robocie, może mu i kłeski zadawać. Rozszalałe powodzie—słońca pożogi, spalające pola — ogień niszczący miasta i wioski— pioruny z nieba bijące — grad i powietrze — trzęsienia ziemi — czyż nie są dostatecznym powodem do większej skromności człowieka w stosunku do żywiołów? A jednak jest żywioł nie boski, lecz ludzki (może dlatego człowiek tak mało go szanuje?) żywiołem tym jest praca, praca ludzkich mózgów, praca ludzkich mięśni. Dzieje ludzkie w całych tysiącleciach — wszystko to co nazywamy kulturą, są właściwie przetworem tego ludzkiego żywiołu człowieczej pracy. A człowiek zamiast być dumnym z opanowania tego, co może opanować— chce być dumnym z opanowania żywiołu nie swego, z żywiołu boskiego. Specjalnie człowiek nie chce szanować największej potęgi swego żywiołu: pracy zbiorowej, chociaż ta właśnie największe cu-

da tworzy. Zdaniem mojem, zasadniczym postulatem szacunku, jest zawsze umowa i lojalne tej umowy dotrzymanie. Umowa polega na warunkach, które wzajemnie się stawiają. Czy stróż, zamiatający ulicę, czy minister rządzący krajem, czy stolarz obracający heblem, czy profesor wykładający w wyższej szkole — dla wspólnej pracy z innymi warunki stawia, warunki przyjmuje. I gdybyż wzajemnie, lojalnie je dotrzymywano, jakżeby inaczej życie wyglądało! Drugim podstawowym postulatem jest szacunek dla instrumentu pracy. Instrument bowiem nieszanowany, kaleczy, lub efektu nie daje. Wobec tego, że mam przed sobą instrument pracy właśnie, z martwego i żywego człowieka złożony, chcę go lojalnie szanować. Warunkiem umownej pracy jest: czas, który już mi mówi: dość.

PRACA SPOŁECZNA

Błądzi ten, kto mierzy postęp nasz jedynie suchymi cyframi handlu zagranicznego, spożycia wewnętrznego, ilością wydanych ustaw, wzniesionych fabryk, czy budynków. Wiele z tych niezaprzeczalnie ważnych faktów stanowi dopiero skutek innych zjawisk, innych prac, może nie tak łatwych do cyfrowego ujęcia, może nie tak w oczy bijących ale niezmiernie doniosłych. Gros tych prac jest dopiero w zaczątku. Skutki ich okaże przyszłość ale w przyszłości, mamy wrażenie, bardzo już bliskiej.

W samym początku naszego istnienia państwowego spotkaliśmy się z szeregiem zadań nie tylko politycznej, ale i społecznej natury. Spadły one jeśli nie całym to przynajmniej znaczną częścią ciężaru na państwo, w mniejszym stopniu na samorządy i społeczeństwo. Państwo miało środki. Dopiero później dostały je samorządy, z biegiem czasu i samo społeczeństwo nauczyło się je zdobywać. Praca zarówno instytucyj propagandowych, jak LOPP, Liga Morska, Towarzystwo Przeciwigazowe, humanitarnych jak Czerwony, czy Biały Krzyż, oświatowych, gospodarczych, społecznych, poczęła się rozwijać. Niektóre z nich, jak Towarzystwo Kółek Rolniczych przybrały olbrzymie rozmiary i wykonywać poczęły pracę, która już dziś odbija się nawet na naszym eksporcie (jaja). Środki na rzeczy niezbędne jakoś się znajdowało — stokroć gorszy jest i był brak ludzi odpowiednio przygotowanych do pracy społecznej. Ten brak absolutnie wszędzie dawał się odczuć. Towarzystwa propagandowe musiały się uciekać do tworzenia doraźnych kursów prelegentów, z których wychodził materiał bardzo słaby, bardzo jednostronnie wyinstruowany. Kółka rolnicze i inne instytucje gospodarczo-społeczne może nieco staranniej przyspasablały swych instruktorów — ale i ci nie dostawali jeszcze należytego wykształcenia. A wreszcie i sami organizatorowie nieraz i nie dwa musieli odczuwać dotkliwie niedostatki w swym wykształceniu. Niejednokrotnie, od wczesnej młodości zajmując pewne posturki, poprostu nie mieli czasu pamiętać o sobie, o wypełnieniu luk dawnych, o uzupełnieniu własnych doświadczeń przez doświadczenia poczynio-

ne na szerokim świecie, niezbędne zwłaszcza teraz, gdy wszystko, co tworzymy, musi być zakrojone na miarę państwową.

Tej właśnie potrzebie, potrzebie nad wyraz pilnej, konieczności przygotowania wszechstronnie wykształconych pracowników społecznych postanowiła uczynić zadość nasza Wolna Wszechnica, otwierając już specjalne studjum pracy społecznej. Dwa lata istnienia tej uczelni były niezmiernie ciężkie. Wzory znalazły się zagranicą — trzeba je przecież było przystosować do naszych potrzeb. Trzeba było, dokonać czegoś tysiąc razy trudniejszego, przekonać sfery rządowe, samorządowe i społeczne, że tego rodzaju studjum jest istotnie niezbędne.

Trudności zostały pokonane dzięki niezmiernej poprości energii organizatorki i duszy całego studjum, Prof. Heleny Orszy-Radlińskiej, która dwoiła się, troiła — była wszędzie, organizowała, wykladała, instruowała wykładowców, profesorów, uczniów, zabiegała tak samo dobrze o lokal, jak i o zszeregowanie indywidualności około jednej idei przewodniej — aż dokonała swego i z niewielkiej grupki która się koło studjum zgromadziła zrobiła aparat czynny, ruchliwy pełen zapału do pracy naukowej i do stosowania wyników jej w życiu.

Studjum to bowiem jest osobliwą uczelnią. Młodzież w niem zgromadzona — to nie żółtodzióbki, wahające się jeszcze pomiędzy prawem a wydziałem matematyczno-przyrodniczym. To ludzie, którzy nie z jednego pieca chleb jedli, zdołali sformować własną indywidualność, umieli brać udział w pracy społecznej, położyli niejednokrotnie znaczne zasługi na polach swej działalności. Oni zdają sobie sprawę, czego im brak — to ludzie skądinąd, którzy nie mogą całkowicie przerwać dotychczasowej działalności. Cechuje ich wyrobienie życiowe, i ukształcone poczucie odpowiedzialności społecznej. Sporo z nich ukończyło wyższe studia a wszyscy nieomal stoją na bardzo wysokim poziomie wykształcenia ogólnego. Z jednej strony trzeba im zrobić porządek w głowach i uszeregować wiadomości w ten sposób, aby wykorzystanie ich dla danej gałęzi pracy było rzeczą prostą — z drugiej strony trzeba im dać praktykę w postaci zwiedzania zakładów wzorowych przyzwyczajenia do wizytacji, do umiejętności szybkiego orjentowania się w środkach rozporządzalnych, za pomocą których można

przeprowadzić poprawę, tam gdzie to jest niezbędne.

Studjum oprócz prac teoretycznych ma zatem wycieczki, zwiedzania, opracowywanie projektów i referatów na najróżnorodniejsze tematy, zaznając społecznej, gospodarczej, a nawet przemysłowej, o ile ta w taki czy inny sposób styka się z zagadnieniami, którym studjum jest poświęcone.

Na razie studjum ma cztery działy, po za ogólnym, obowiązującym dla wszystkich a) pracy oświatowej wśród młodzieży i dorosłych, b) organizacji życia społecznego w zakresie urządzeń kulturalnych, profilaktyki społecznej i opieki społecznej nad młodzieżą i dorosłymi, c) bibliotekarstwa i organizacji czytelnictwa, d) opieki społecznej nad dziećmi. Każda z tych grup rozpada się na działy: organizatorski, wychowawczy i naukowy, aby z jednej strony przygotować praktyków do życia, z drugiej — wytworzyć zastęp ludzi teoretycznie pracujących w tej tak niezmiernie ważnej dziedzinie.

Nie będziemy w tej chwili omawiać szerzej programu studjum. Nie dało by to nic czytelnikowi dziennikarskiej wzmianki. Zapoznać się z tem trzeba bliżej, aby ocenić jego wartość. Trzeba, aby weszły w kontakt ze studjum wszystkie nasze organizacje społeczne, aby zaczerpnąć odeń wiedzy i praktyki, którą tam znoszą nie tylko profesorowie, ale i słuchacze, aby jednocześnie udzielić mu doświadczenia własnego, zgłosić własne potrzeby i powołać do rozszerzenia dalszego ram jego na całość życia polskiego. Studjum ma prawo domagać się tego od wszystkich działów naszej pracy społecznej — dla wszystkich bowiem w równej mierze jest nieodzownie potrzebne.

Studjum pochłonięte dotąd własną organizacją wewnętrzną, nie miało czasu na reklamę. To też glucho o niem wśród nas. Jeżeli jednak samo ono o sobie nie mówi — powinni tem więcej mówić inni — przy odpowiednim bowiem poparciu i należytem postawieniu, może ono całkowicie przetworzyć naszą pracę społeczną, nadać jej rozmach i głębię, o jakich dotąd marzyć nawet było trudno. Ma ono po temu warunki obiektywne — posiada też i warunki personalne. Kierownictwo jego spoczywa w ręku niestrudzonej p. Orszy-Radlińskiej — stanowczo bardziej czynnej, bardziej ofiarnej i twórczej niż znanej.

A. Uziembło.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

NA WARCIE

Scena z „Widm”.

(Okopy w dal idące —
Cisza biała w okopach.
Schrony, śniegiem odęte,
Okienkami nikłymi świecące,

Rzekłbyś: z bajki wyjęte
Chatki na kurzych stopach.
Front na Wschód — na mroczne pola —
Na prawo mająk lasku,
A pobliz okiść gałęzna
Przeszyta fioletem brzasku.
Tam to, na skraju borku,

*Na granicy ciemności i świtu
Żołnierz polski stoi na warcie — —
On, ten sam zawdy, na straży honoru,
Na rozstaju bytu i niebytu,
W mrok wpatrzony uparcie.*

*Polskę śni... Wciąż to samo.
Polskich wad bezowocna męka...
Tedy tą mroczną lasu bramą,
Poza którą wysyła mrok przesłankiem krwawy,
Przemkną się dręczące jawy...
Ujmie karabin ręka:)*

— Stój! Kto idzie?
— Litości!
Upadam ze znużenia.
Z dalekich dążę włości,
Przez trzy już idę pokolenia.
Wszereż i wzdłuż mierzę te nieszczęsne ziemie,
Krwia ślady stóp swych znaczę,
Zbieram po drodze łyż-rozpaczę,
Ach, któż odejmie to brzemie?
Na obcych stoję gościńcach,
Pokazuję ramię moje w sińcach,
Litości! błagam. U bram Europy
Wielekroć żebracze me krwawiły stopy.
Bo cóż my wobec potęg — karli!
Wielkość nas mami.
Czyż my sobie damy radę sami?
Synowie moi na polach pomarli,
A wnuki, niedorośli,
I oni, i oni poszli —
Pogina! Marzonego nie osiągną bytu.
Tak od wieka już dążę do świtu,
Przez noc wypatruję ciemną —
Daremno!
Światło ledwie od wschodu wybrzaśło,
Już zgąśło, zaszło chmurami.
Ciemności, wszędzie ciemności...
— Spojrz: świt przed nami!
Wyprostuj ducha! Sięgnij dłonią!
— Cienie dostępu bronią...
— Precz, Słabości!...
(Znikła mara, jak cień, który w świetle taje,
Gdy oto nowa przed nim staje.)
— Kto idzie? Hasło?
— Ciszej! Ciszej!
Jeszcze nas podmuch usłyszysz,
Doniesie —
Strach na polu i w lesie.
Hasła nie można krzyczeć — wróg blisko.
Ach, ta noc —
— Podejdz bliżej.
— Powiem na ucho nazwisko,
Powiem hasło, skoro się rozwidni nieco.
Pocóż narażać głowę o byleco?
Wróg czyha. Drzewa mają uszy.
Trzeba odwagę umieć trzymać w ryzie.
Odważny piasek gryzie,
Gdy ostrożny przybiera na tuszy.
Jesteśmy sami...
Powiem na ucho: i ja jestem z wami,
Choć się to z moim poglądem nie zgadza —
Jeno żeby nikt...
— Bładość cię zdradza,

— Nie, to nie ja, lecz...
— Tchórzostwo, precz!
Znikła mara,
Przeszyta grottem piorunowym wzroku,
Gdy nowa wychodzi z mroku].
— Hasło? Stój!
— Wolne żarty.
Swobodnie przechodzę wszędzie,
Wszystkie puszczają mię żarty.
Jestem na każdym zebraniu,
W rodzinie, w gminie, w urzędzie,
W zacięciach parlamentu —
Nic się bezemnie w Polsce nie odbędzie.
Co się w ład układa — splączę,
Co się łączyć poczyna — rozłączę,
Jestem siewcą — mówię o zbrataniu,
A sieję zamęt... żyję, rosnę z zamętu!
Hasła? — mam ich zapas spory:
Przebrzmiały, stare i nowe.
Są już rodzime na polskie wzory,
Wysocy ideowe.
Ktoś wznosi okrzyk: „Niepodległość!”
Zgoda —
Krzyczę: „Wybierajmy Piast!”
Ot, gdy się tylko małą wstawkę doda,
Partją nowa wyrasta,
Mam już w tem wytrawną biegłość,
Nabytą od stuleci
Z nieustających szlacheckich sejmików.
Najwięcej hasła, mątu, krzyków,
A całość sama się rozleci!
(ruch przejścia)

— Dokąd?
— Do obozu dążę.
Lubię gościć w obozie: ruch, kłótnie...
I ty, zamiast stać tutaj na mrozie pokutnie,
Mógłbyś...
— Precz! Zwiążę!
— Ha! ha!
Jestem, jak wrzeczono, nieujęta.
Wszędy się wkręcę.
Wejdę między żołnierzy, w regimanta,
Dyscyplinę rozluźnię,
Barwę pokłócę z barwą,
Wodzów poróżnię...
(Żołnierz karabin ujmie w ręce,
Zmierzy:))
— Przepadnij, przekłeta larwo!

*(Ledwie ta w zamrok uchyli się broni,
Ledwie próchnienie jej zgąśło,
Gdy nowa z tajni się wyłoni,
Naprzód postąpi...)*

— Stój! Hasło?
— Kto się tu o hasło pyta?
Samam sobie hasłem jest, i kwita.
Wolność dróg podług swej woli.
Wyrosłam na polskiej roli,
Mam wieki pomarłe w rodzie,
Kpię sobie z regulaminu!
Prawa są prawem dla gminu,
A ja jestem od wieków S w a w o l a .
Niczyjej się nie nagnę, —
Przejeżdżam, gdzie zapagnę —

Otwarte są mej swobodzie pola
Od Tatr do stepów zaporoskich.
Jam to wodziła Zborowskich,
Którzy drwiąc z praw, z fanfarą...

— Precz! Przeszłości wracająca maro!

*(Mara znikła, jak senne widziadło.
Niebo na wschodzie poblądło.
Rozwidniła się droga...
Tedy przed zmożonym męką
Postać olbrzymia wyrasta,
Mąż-Niewiasta,
Czołem nad wyrost mroku sięga,
Potęga — —
Zadrga serce żołnierza...)*

— Hasło?

(Milczenie)

*(Żołnierz podniesie wzrok do czoła Świtu.
Ujmie karabin na baczność:)*

— Odrodzenie!!

WŁADYSŁAW ORKAN.

IMIĘ JEGO...

Imię Jego przenika w szerokie podłoża ludowe przedewszystkiem, jako symbol nieugiętej walki o dobra duchowe, walki o wyzwolenie Ojczyzny, o godność osobistą i narodową, o lepszą sprawiedliwszą i słoneczniejszą przyszłość... co nas zjadaczów chleba, w aniołów przerobi!

I był w walce tej zawsze nietylko wodzem, lecz i wzorowym towarzyszem. Jego przykład, zachowanie się nawet w drobnostkach, powtarza otaczającym:

Pamiętajcie więcej o innych, niż o sobie, a będzie wam dano więcej, niż sami zdobyć możecie, gdyż ci inni również pamiętać o was będą!

Czy to w ogniu bitwy, czy naradzie, spokojne, szare, przenikliwe oczy Jego patrzą zawsze w dal z pod krzaczastych brwi, jakby ścigały jakieś odległe wizje, lub widziały cienie tych, co byli z nim i odeszli...

Pamięta ich, z czułością i bólem wspomina ich, — niekiedy, — bo na ogół nie lubi o tem mówić...
Bo trzeba było...

Aby na śmierć poszli po kolei...

Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!

I sam się od tej kolei nigdy nie uchylał. Wieleżto razy cień szafotu wiał na tą głowę ukochaną, gdy w ciemną noc niewoli szedł szarpać łańcuch zapadającego w niezdrowy cień narodu...

A teraz, gdy pod ogniem kul i szrapneli zwieżdza lub wybiera pozycję, czyni to z prostotą żołnierza, który o tamtych rzeczach nie myśli.

Czyż dziwić się można, że Go kochamy, jako najlepszego z nas?

Mógłbym tak mówić bez końca, czerpiąc przykłady z przygód tego człowieka, którego życie było

fantastyczną bajką a postać staje się zwolna narodową legendą.

Lecz uważam, że wizerunek Jego jest już dość wyraźny, a wykończą go do reszty przyszłe Jego czyny.

Wacław Sieroszewski
(z książki Józef Piłsudski
Piotrków 1915).

IMIENINY KOMENDANTA*)

Zamieciono wielką salę opuszczonego dworu... Zapowiedziano, by nikt nie rzucał niedopałków na podłogę... Przy schodach ukryliśmy orkiestrę... Obsadziliśmy czujnie telefon, by dano nam natychmiast znać, gdy Komendant wyjedzie z obrębu baterji... Obsadziliśmy drogę, prowadzącą do dworu, by wczasu widzieć, kiedy się zacznie zbliżać.

W sali zbierają się oficerowie, ubrani odświętnie, — jeśli można mówić o paradzie tu w polu. Polega ona na tem, że się nie rzuca niedopałków na podłogę, że się ma oczyszczone buty i minę podniosłą.

Schodzą się uroczyście i ceremonjalnie.

Już jest ogromny, zupełnie do Scipiona Afrykańskiego podobny, komendant karabinów maszynowych, Słonecki. Już jest ponury i twardy komendant saperów Dąbkowski. Najpocziwszy szef żandarmerji polowej Jur-Gorzechowski odznacza się dostojnie swą zacną brodą. Słysząc go w grupie, jak wywodzi rzewnie: — Bracie kochany!

Mistrz ceremonji, podporucznik Sulistrowski, przyjmuje wszystkich, wzorem będąc wojskowego wykwinu i słodocy. Właśnie mruży oczy subtelnie i ścisła rękę kapitanowi Berbeckiemu.

Stopnowo zjawiają się: komendant bataljonu kapitan Fleszar, kapitan Scaevola-Wieczorkiewicz, major Śmigły, kapitan artylerji Brzezina i wogóle wyższe szarże, witane twardym wojskowym ukłonem.

Przedostają się powoli przez ciżbę młodszych oficerów, raz wraz podając rękę. W sali już niebiesko od mundurów, trzask szabel miesza się z tonem rozmowy i uroczystem szurganiem butów.

Gdzieś w kącie huczy głośno nieporównany podporucznik Dzieduszycki ciągnąc za sznur księdza kapucyna Kośmę, zaś porucznik Litwinowicz dogaduje, wyzierając dobrotliwie z poza okularów, dziwnie krępy i zwięzły, obok wysokiego kapitana Wyrwy. Wchodzą, zawsze śpieszni kawalerzyści w ogromnych czapach Belina, Orlicz i Wieniawa.

Za drzwiami w drugim pokoju, wre praca gorączkowa. Tu, opuściwszy ceremonję powitań, króluje Sulistrowski, układając nakrycie stołu z czystych poszewek i prześcieradeł, kombinując ilość talerzy i kieliszków, by wystarczyło dla wszystkich.

Komendant!

Wszyscy rzucają się do okien i wypatrują przez zataraszony klomb na drogę, po której pędzi młody wiosenny wiatr i suche zimno nieprzebudzonej jeszcze wiosny. Daleko na szarych polach długie pasma śniegu i różgi drzew i — rzekłbyś dym — szare wieńce zmarzniętych krzaków.

*) 1915 r. w Grudznach nad Nidą.

Jedzie komendant! Teraz napewno...

Orkiestra rżnie marsza. Przed klomb zajęz-
dza w szarej świtce Piłsudski, za nim major Troja-
nowski dr. Roupert, kapitan Kasprzycki i inni.

W sali gromadzą się wszyscy.

Gdy Komendant wszedł, staliśmy, jakby pół-
kolem w podkowę.

Jeden dźwięk ostróg, siwe mundury spręży-
ły się, służbista gotowość zaciężyła na twarzach.

Jeżeli zaś podkowa jest znakiem pomysłności,
to ta, żywa i szara, w której kształcie staliśmy, naj-
wierniejszą jest, jaką komendant w swem życiu
spotkał...

Wystąpił major Śmigły, przemawiając uroczy-
ście, — jako żeśmy ufali naszemu Dowódcy oddaw-
na, lecz boje, do których nas prowadził, ufność na-
szą i oddanie się — ustokrotniły. I że nie masz dla
nas zadania dość trudnego, gdy z jego płynie kom-
mendy i, — byśmy te imienniny za rok obchodzili
w wolnej Warszawie...

Cisza i przysięgła jakowaś bladeść twarzy i o-
czy w dowódcę wpatrzone głębokim wzruszeniem
błyszczące...

— — — — —
Major Śmigły wręczył album, które III bata-
ljon 1-go pułku brygady ofiarował dziś Komen-
dantowi:

Jest to księga z szarego, grubego papieru, tak
podobnego do barwy naszych mundurów. W jed-
nym rogu okładki, w czerwonym giętem ramowa-
niu oficerskiej odznaki I. Legionu błyszczy gwiazdka
podporucznika, zaś brzeg przecinają na wzdłuż
trzy czerwone paski — odznaka sierżanta.

Na pierwszej stronie w objęciu pięknie styli-
zowanych pędów świerkowych napis dedykacyjny.
Dalej historia III. bataljonu.

„Gdy Twa wola niezłomna — głosi pismo —
powołała nas osiem miesięcy temu do nowej woj-
ny o Niepodległość Naszą, pierwszymi z Twoich
żołnierzy, którym szczęście przypadło sformować
się w jednostkę bojową, przejść wraże kordony, bić
się z Moskalami, byli żołnierze dzisiejszego III, ba-
taljonu pierwszego pułku piechoty polskiej. W dniu
3 sierpnia stworzyłeś z uczniów szkół wojskowych
obu zbratanych organizacji strzeleckich pierwszą
kompanję kadrową wojska polskiego. Było ich
blisko 160, tylu, ilu podchorążych niegdyś w noc
Bełwederską. Pod komendą obywatela Zbigniewa
(Kasprzyckiego) dziś kapitana Twego sztabu, prze-
kroczyli 6 sierpnia granicę. 8 sierpnia zajęli Mie-
chów. Tutaj z kompanją I., prowadzoną odtąd
przez ob. Herwiną, przyłączyły się dalsze kompanje
w liczbie pięciu, sile 372 ludzi. Z głównej ich ma-
sy sformowano kompanję drugą ob. Zosika, dotąd
jej komendanta, trzecią ob. Scaevoli, dziś kapitana,
komendanta dzisiejszego III bataljonu”.

Parę ustępów niżej:

„Bataljon III. miał szczęście spełnić swą po-
winność w potyczkach koło Opatowa i Nowego
Korczyna (potyczka pod Uścikowem i Stróżyska-
mi 19 września); w rekonesansie około Garbatki
w pobliżu Iwanogrodu 21 października; w boju leś-
nym pod Anielinem (22 października: odparcie
oskrzydlenia nieprzyjacielskiego atakiem flanko-

wym, 170 jeńców); w trzydniowej bitwie pod Las-
kami (24, 25, 26 października); w boju pod Brzecho-
wem 31 października; w przeprawie: z pod Krzy-
woplotów przez Ulinę Małą do Krakowa (utarczka
10 listopada); w nocnym napadzie na Chyżówki (23
listopada wzięty do niewoli szwadron jazdy); w sze-
regu walk dokoła Limanowej i Nowego Sącza,
wreszcie w bitwie pod Łowczówkiem (22—25 gru-
dnia 1914, rozstrzygający atak III. bataljonu, szcze-
gólnie pierwszej kompanji, po utracie wszystkich
oficerów prowadzonej przez sierżanta Kalinę-Ziele-
niewskiego, dziś podporucznika, paruset jeńców”.

Na wstępnych stronicach fotografie kome-
ndantów bataljonu i szarż, a dalej kompanjami pod-
pisy żołnierzy wprawne, wyrobione, doktorskie —
i proste, jakby orane piórem na papierze i zupeł-
nie niezdarne, drżące, jakby na wodzie pisane,
wreszcie... znaki pod obojętnym podpisem — krzy-
żyki chłopskie...

Zmierzcha się już zupełnie. Przewracam stro-
nice tego albumu i oczy mi się w mroku mylą. Zwi-
duje mi się, że się te podpisy nie tylko na kartach
księgi snują, lecz drżą wedle mnie i nademną, w
całej izbie i wśród pół śpiących i daleko na sza-
rem niebie.

(Piłsudzczy 1915. Oświęcim).

**

Od samego rana płynęło to wojsko żelazne dro-
gami, lasami, ścieżkami, polem, miedzą i każdym
miejscem wolnem.

Od samego rana przez upalne promienie słońca
walały ciężkie artylerje. Od samego rana do po-
łudnia i z każdą godziną coraz więcej rósł huk. By-
ły chwile kwadrans, w których zatrzymać mu-
sieli krok ludzie i konie, a wszystkie koła warczą-
cych baterji milkły, bo oto od zachodu pędziły całe
gromady, całe tłumy samochodów z jazgotem prze-
rażliwym i kurzem podniebnym.

A potem na przemiany zalewała nas niemiecka
jazda, ciężko pracująca na siodłach. Między lasami,
na wskroś, płynęły ostre lasy czarno-białych lanc,
zaś po szosie olbrzymiej sypał się wciąż nieprze-
liczony miał piechoty, która deptała ciężko, — jak
grad.

Albo znów obegnał ich wszystkich rozkaz,
a wtedy, jakgdyby straszliwa moc państwa, co tych
ludzi tu słało, — leciał ryczący oddech i znów,
rzekłbyś żelazne boki, czy zreby, pędziły wielkie
samochody układać się tam gdzieś, na końcu świa-
ta w nieprzebitym murze niemieckiego zwycięstwa.

Nam, żołnierzom, którzy się tyłać musieli koło
austriackiej biedy i łataniny i którzy się tylko z Ro-
sjanami porali, — oczy chciały wychodzić na
wierzch wobec widoku tej masy broni i żelaza.

Naprzeciw owych bajecznych skarbów śmierci,
grozy ludzkiej stałą namaszczonej, naprzeciw tych
głów setek tysięcy, które strojne w ostry szpic
pikelhauby toczą się po ziemiach ogromnych ku
wschodowi, — jedzie nasz Wódz, — dziadowina
niejako... Dla niepoznaki, dla zamylenia, oparcie po-
wozu wyłożone ma białą łózkową poduszką, na
którą oto skłonił głowę, — tyka bez miary kurz

z pod nóg armji zwycięskiej i wodzi zinnemi oczami po tej potędze...

W połowie drogi musieliśmy znowu ze szosy zejść.

Powóz rozlatywał się prawie, chłopski konik cały animusz stracił, obręcz trzeba było z koła ściągać i na nowo nabijać. Zeszliśmy więc w głąb drogi, ku jakiejś kuźni, opartej o szare, równe parkany wielkiego pańskiego folwarku.

Tu kowal stuka, miech fuczy, wielkie serce ognia ukazuje się w ciemnej czeluści, wytryska płomieniami i gaśnie, my zaś siedzimy na trawie, Komendant w środku — i czekamy... A tam droga, straszna potęga płynie i płynie, obłoki ją ciężkie unoszą, świat od niej drży, ziemię się od niej trzęsą i jej rytmami krew w skroniach huczy.

Mówiliśmy więc tu na murawie o armji i o tych armjach świata i o tem, jak się duch Narodu w swej broni przeglądać może, niby w lustrze i o tem, że my...

Wtedy nam przerwał Komendant i wkrótce znalazł się w Jego słowach wszystek duch i wszystka krew i każde drgnienie całego życia... Spalona, pyłem i kurzem oblepiona twarz jęła lśnić potem serdecznego wysiłku, słowa wyrwały się z piersi mocne i dźwięczne, jak dźwięk tej kuźni pobliskiej.

Ze marzył dać Polsce to, co takim skostnieniem, takim upokorzeniem ducha okupywać musiały przez setki lat inne narody... Zeby Polska w tej wojnie, z niespodziewanym dla całego świata posagiem cudownym weszła między ludy Europy prawo wywalczające. Zeby weszła między nie ze swą młodą armją, nie z rutyny, lecz z serca, z duszy Narodu poczęta!

Zrozumiałem, że siedzi tu teraz Piłsudski, pod parkanami jakiegoś pałacu, przed biedną kuźnią graty swoje latając, zlany potem, pyłem i ziemią oblepiony, — jak nieśmiertelny jałmużnik swego Narodu.

Rubikon, 1920 Warszawa: Opis drogi, którą przekradał się J. Piłsudski z frontu armji ku Warszawie, zajętej przez Niemców w r. 1915.

**

Wieczór zapada, czerwony mrok przenika drogi i lasy, szum gęstych sosen płynie niewstrzymanym głosem...

Zajeżdża pociąg. Z okien wychylają się nasi żołnierze — koło lokomotywy karabiny maszynowe... Wszystkie przedziały tętnią orężem... Na szerokich rosyjskich wozach wypisane pospiesznie kredą: — Pierwszy pociąg polski z Warszawy do Wilna!

Piłsudski stoi w drzwiach wagonu. Twarz jego objęta jest zorzą walki, policzki płoną gęstym rumieńcem, nateżone żrenice straciły swój łagodny kolor, — biją rześystem światłem...

Postój... Na coś się jeszcze czeka... Naczelnny Wódz wyskoczył zwinnie z wagonu i wraz wysypuje się za nim z pociągu pluton młodych żołnierzy - skautów. To jest właśnie osłona Dowódcy.

Nic piękniejszego, jak w ciemnych, aż bronzowych skłonach zachodu ów wielki lew, za którym, niby gromadka bujnych szczeniąt, bieży i zagania sprawny pluton skautów.

Komendant rozmawia z nami szybko, gorąco, słowa zdają się rozsadać jego wezbraną pierś...

Ach tak, naturalnie... Bo istotnie, jakby się teraz wyrównały drogi dawno założonych przeznaczeń... Właśnie tam, gdzie Janusz Głuchowski rozbił bolszewików, w Lipniskach, była pierwsza polska drukarnia tajna... A przecież wtedy drukarnia była tem, czem dzisiaj, tu na froncie, bateria haubic... Niedaleko stąd w Bastunach, złożony był transport odezów, które miano rozkleić, gdy tylko przyjdzie wieść o zgonie cara Aleksandra, na wszystkich rogach nieszczęśliwej Polski i Litwy, aby nieprzyjacieli drżał myśląc, że tych drukarni jest wiele, w wielu miejscach...

Ach, tak, naturalnie, wyjść temu wiele lat prostym żołnierzem a wracać wodzem... Wgnanym być kiedyś z Ojczyzny, a dziś Ojczyznę tę mieczem swym z ostatniej niewoli ratować... Przebiegać drogi, na których kryć się trzeba było i cofać... Zaś dziś temi samymi drogami iść i zwyciężać i wroga gnać...

Dalej! Naprzód! Naprzód!!!

Wskoczyliśmy do wozów. Za Wodzem lawą skauci — i ruszyliśmy, schowani w ciemnym wnętrzu żelaznych flanków pociągu, przez rude lasy, zapomniane wody, ustale drogi, tak przejęci spełnieniem przeznaczeń bohaterskich, jak chyba przejęci byli sprawą walki Grecy w ognistych flankach trojańskiego konia...

Wyprawa wileńska 1919.

**

Ruch samochodów warczy dokoła nas we dnie i w nocy tak, jakgdyby moc powodująca stąd armjami, wprawiała powietrze w ciągłe drżenie.

Jedziemy do Zwiahła, smarując po szosie pełnym regulatorem. Daleko na prawo i lewo od skłonów drogi wydziwiają zjawy, utkane z tumanów roztraconego kurzu, wyczyniając tysiące łamańców niebotycznych.

Gdzieś już niedaleko od Zwiahła na murawie przy lasku jakimś natrafiliśmy na Naczelnika.

Opodal, z dużym nosem Wieniawy na przedzie tkwiła pstra sałatka zdyszanych adjutantów belwiderskich. Zboku na pniu, gryząc litewską kielbasę, siedział generał Henrys w czerwonej czapce, zdobionej złotym laurem francuskim.

Czekający na szosie szoferzy dębali w autach, drugą stroną ciągnęły bez końca szare garby taborów. Słońce lało się z nieba wonnym, połyskliwym zapachem wiosny na pola, na zmrużone sadyby, na tajemnicze skręty kurzu, uciekające poprzez rozkwitłe drzewa.

Piłsudski w swym strzeleckim, niebieskim mundurze leżał wsparty na kamieniu, zapatrzony przed siebie. I tak mi się nagle ułożyło w pracowitym chrobocie i wypoczynku tej słonecznej chwili i w zrozumieniu tej wojny, przez którą teraz młodość stare krzywdy wyrównuje i nowe lepsze losy

sposobi, — jakby tu na szmaragdzie murawy nie wielki nasz Wódz spoczywał, lecz jakby na tę murawę padał niebieski promień najszlachetniejszej prawdy polskiej.

Wiosna 1920 roku (Wyprawa na Kijów)

Juljusz Kaden-Bandrowski.

WŁÓDARSTWO NAD NARODEM

Historja nasza zarejestrowała szereg nazwisk wiekopomnych. Osobistości te bohaterские, żołnierskie — uczeni, społecznicy, politycy, prawodawcy — zawsze właściwie podporządkowywali się jednej ściśle rubryce, a tylko samejże sile swojej genialności, względnie swego charakteru, zawdzięczali, że ich poczynania, w ramy pewnej sfery konsekwentnie ujęte, wypromieniowały na inne także dziedziny — ujęte, wypromieniowały na inne także dziedziny — pośrednio. Zawsze tylko pośrednio. A więc czy to oni po jednej linii swego posłannictwa, wytwarzając tylko nieraz wokół siebie, bezwiednie, tę podniosłą atmosferę, która użyźnić miała wielkie przestrzenie twórczości narodu, jego etyki, czy jego społecznego układu. I to zazwyczaj po śmierci dopiero imiona ich wpływały z chaosu inwektyw, pretensyj, zawiści i małości.

Piłsudski zajął zgoła inne stanowisko w naszych dziejach. Styraniował poprostu wszystkie dziedziny naszego narodowego bytu, narzucił się impetycznie zagadnieniom polskiej irredenty, wtargnął najkategoryczniejszym imperatywem w obręb naszych militarnych i społecznych pomysłów, ujarzmił polską twórczość. Co było wielkiego i zdolnego w narodzie poszło na chwałę jego imienia. Najdziwniejsza jest ta szybkość, ta bezpośredniość, z jaką o władnął on olbrzymie obszary myśli polskiej współczesnej, za życia, za świeża, pararelnie do swoich pociągnięć. Przyjrzyjmy się tej dziwnej księdze zdarzeń, z której strzela bukietami rac jedno i to samo imię, imię Józefa Piłsudskiego.

Nie mówmy już o powstaniu Polski, o walkach orężnych. Spójrzmy na historję P. P. S. W założeniu swoim międzynarodowa — przez kogo została ona skierowana na drogę polską? przez kogo została, mimo swoich antymilitarnych haseł, zmobilizowana dla ruchu irredentystycznego, polskiego, dla militarystyki polskiego, strzeleckiego, bojowo-ideowego!? Pamiętam listy, które swego czasu, w roku 1912 — 13, otrzymywałam od s. p. Jędrzejewskiego-Baja, w których mi obrazował przetwarzanie się ówczesnej ideologii socjalistycznej w kraju, pod wpływem właśnie Józefa Piłsudskiego. Pacyfizm, uniwersalistyczna idea, która się w tych żelaznych rękach przemieniała w ideę bojowej gotowości.

Spójrzmy na szalone zmiany w pedagogji obecnej, na rozrost fizycznych, sportowych zagadnień. Spójrzmy na gwałtowny, nieustępliwy zalew idei etycznej, poczucia obywatelskiego, zrozumienia zasady państwowości, przeciw któremu to zalewowi coraz słabsze kładą tamy organizacje naszych defetystów. Spójrzmy na prestige imienia polskiego za granicą, tak dziwnie, tak ściśle związane z imieniem Józefa Piłsudskiego, mimo, że zasadniczo tenże Józef Piłsudski nie poszedł w okresie Wielkiej Wojny z t. zw. Ententą. Zrozumiały mocarstwa, że nie mógł on iść inaczej w chwili danej, rozumiały, że ten tyle niepewny ich sojusznik: Rosja, była w pierwszym rzędzie nie do przyjęcia przez ideologję Piłsudskiego — że dopiero po usunięciu się Rosji z terenu walk światowych, mógł on jawnie zdezwuować Prusy i Austrię i iść po linii swojej wolnej Ojczyzny. Bezkompromisową konsekwencją przekonał i tamtych. I ilekroć podłość narodu zasuwiała w cień imię Piłsudskiego, zamykała orla za sulejowskie kraty, bladło imię Polski na szachownicach zagranicznych i — odwrotnie — rozbłyskiwało, gdy wracał on.

Spójrzmy nareszcie na piśmiennictwo nasze. Wszystkie siły twórcze, najwybitniejsze, literatury polskiej, głosiły chwałę Piłsudskiego. Sieroszewski, Kaden-Bandrowski, Strug, Daniłowski — wszyscy poeci więksi; Wierzyńscy i Tuwimowie — wszyscy malarze i rzeźbiarze — doprawdy powiał na całą Polskę wicher, o tym przemożnym Leitmotywie: Józef Piłsudski. Nawet nie można zwracać uwagi na szczebanie z za płotu, które się tu i ówdzie, coraz słabiej zresztą odzywa. To rzecz śmieszna i nie warta uwagi. Przeciw żywiołowi, ogarniającemu ogromne przestworza, nie można kłaść żdźbła słomy, prawda? a kto operuje jednakże takim żdźbłem słomy, może być poczytywany conajmniej za... warjata.

Na wielkich walkach maszyny współczesnej, skrapla się niepowstrzymanie i gęsto imię Józefa Piłsudskiego i jego wola. Włódarka jego obejmuje całokształt kraju i nadaje mu odmienną formę, wciska w odmiennie kategorie, modeluje na wzór stały i wielki. Nie było jeszcze w dziejach ludzkich podobnego włódarka. Pozornie wydaje się, że leży pewne podobieństwo między Piłsudskim a Napoleonem, jednakże jest to coś zgoła innego w sensie i znaczeniu. Napoleon nie odmienił psychologii Francuza, odmienił tylko może kartę Francji i jej prawodawstwo. Natchnął literaturę francuską wprawdzie także, ale tylko sobą, a nie ideologją swoją, której nie posiadał. Piłsudski, dając siebie, daje swoją ideologję i wspólnie z nią rośnie w cieście narodu, młodzieżą najtęższą.

M. J. Wielopolska.

Nasze biedne gospodarstwo

Komitet edukacyjny założony przy Uniwersytecie Ludowym w Brooklynie (New York), wydaje w 1928 r. Księgę Pamiątkową Uniwersytetu Ludowego, zawierającą popularne artykuły naukowe z działów religii, literatury, poezji, medycyny, pedago-

giki, życia społecznego, chemji i t. d., służące do popularyzowania wiedzy. Gwoli zebrania odpowiednich prac, Komitet rozpisuje konkurs na powyższe artykuły, ustanawiając trzy nagrody po 150, 100 i 50 dolarów, dla najpopularniejszych prac. Termin

nadsyłania kończy się 30 maja 1928 roku. Adres K. W. Trzepierzynski, 161 — 15 street, Brooklyn, New York U. S. A.

**

WE LWOWIE MAJĄ GDZIE UMIERAĆ!

Radcy lwowscy czy też magistrat osadzili, że nagroda literacka miasta Lwowa w wysokości 10,000 złotych, to za dużo i zmniejszyli ją do 5,000. Lwów, który przez tyle lat gościł u siebie Kasprowicza, który w trudnych czasach niewoli wychował Staffa, Lwów w murach którego pracuje i szerzy zamięłowanie naszej wielkiej poezji znakomity Juliusz Kleiner, teraz, gdy mniejsze od Lwowa miasta podwyższają nagrody literackie uważa, że trzeba skąpić na ten cel. Panowie rajcy sądzą widocznie, że skoro kiedyś zacny p. Doms ufundował przytułek na starość dla ludzi pióra we Lwowie, — to już wystarczy. O cóż więcej chodzi, skoro mają we Lwowie gdzie umierać pisarze polscy?!

**

PODPISUJE KAWAŁKI I MILCZY...

Pomimo głośniejszej dyskusji w sprawie utworzenia Akademii Literatury Polskiej, mimo silnego ataku przeciw karygodnej opieszałości w tej sprawie Departamentu Kultury i Sztuki pod p. dyrektorem Skotnickim, ataku poprowadzonego publicznie przez pp. Wielopolską i Lechonia, — sfery departamentalne milczą dostojnie. Czy dlatego, że nic nie mają na swoje usprawiedliwienie, czy, że ich Akademia i ataki pisarzy nic nie obchodzą, czy może pro prostu dlatego, że Departament poza podpisywaniem kawałków wogóle niczem się nie zajmuje? Tembardziej, że na razie wszyscy wybitniejsi literaci są jako tako zdrowi i żadne kondolencje, wień-

NAD KSIĄŻKĄ

M. B. Lepecki. „W sercu czerwonego ładu“. *Przygody z podróży po Paragwaju, Boliwji i Brazylji*. Warszawa. „Biblioteka polska“. (1928).

Zaczynamy się upodabniać do Anglików: mamy swoich własnych włóczęgów, tłukących się po rozmaitych wertepach i dziurach świata, — i to bezinteresownie! Wytłumaczyć to można w dwojaki sposób: albo wojna pozostawiła w nas tak silny ferment niepokoju, że nie potrafimy wytrwać w atmosferze codziennej pracy, albo, że istnieje już w nas pewna nadwyżka energii, nie mającej się gdzie wyładować. Lepecki jest ponad tem wszystkim. Cechuje go chłopięcość, atmosfera dziwnej niewinności. Nie ma to, oczywiście, nic wspólnego z literaturą, ale się na niej odbija jako pewne ubóstwo psychologii.

Lepecki nie jest romantykiem. Zadowala się on romantyczną okolicznością, atmosferą. Niema wyrazu lepiej charakteryzującego stosunek Lepeckiego do wszystkich tych Paragwajów, jak wyraz: „konkwistador“. W jego ustach jest on najwyższą pochwałą i ostateczną formą marzenia. „Szlakiem konkwistadorów“, „Polscy konkwistadorzy“ — to nie tylko nazwy, ale i oceny życia.

ce pośmiertne, czy też nieznośne koszty pogrzebu nie kroją się w najbliższej przyszłości?

**

SZANOWNE ZDROWE A ŁUCJA Z LAMERMOORU P. PREZESA JAWOROWSKIEGO

Owo zdrowie literackie nie takie znów silne, jakby się zdawało. Oto nie dalej, jak ubiegłego tygodnia musieli znów wszyscy prezesi organizacji literackich podpisywać błagalne podanie do P. Prezydenta Rzeczypospolitej o dar z łaski dla jednego z bardzo zasłużonych poetów polskich, który od paru lat złożony ciężką niemocą walczy z krańcową nędzą, — nie ma co jeść i nie ma na najprymitywniejszą opiekę sanitarną.

Jakże pięknie wygląda w tem świetle — gwoli uczczenia Niepodległości Polski operowy pomysł prezesów i prezydentów miejskich Jaworowskiego z Wilczyńskim, Szpotańskiego i Borzęckim, pomysł budowy wielkiej opery w Warszawie dla szminkowanej staruszki — Łucji z Lamermooru!

**

WILNO DA PARĘ GROSZY!

Krązą pogłoski, jakoby Wilno miało ustanowić nagrodę literacką w wysokości jednego, czy dwóch tysięcy złotych. Jeżeliby pogłoski te były słuszne, sądzymy, że Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie odpowiednio w tej sprawie zareaguje. Nędza pisarzy jest bezspornie rzeczą bardzo wstydliwą. Nagrody starają się nężyć tej do pewnego stopnia zapobiedz. Mają one w pierwszym rzędzie potężne znaczenie moralne, w drugim dopiero znaczenie materialne. Znaczenie jednak materialne nie może się sprowadzać do granic odczepnego, czy jałmużny. To już chyba wolimy mieszkać kątem i umierać na ogólnych salach?!

xyz

Opis podróży przypomina panoramę. Widok przebija się niezależnie od widzów. Autor obawia się w opisie swej podróży potracić chociażby o nutę bardziej osobistą, tem samem bardziej literacką, bo wydaje mu się to pewnego rodzaju oszustwem, dokonaniem na „rzeczywistości“. Dlatego czytać opisy podróży powinni jedynie ludzie o bardzo rozwiniętej wyobraźni, którzy potrafią wejść w skórę autora, a jednocześnie zapomnieć o jego obowiązkowej skromności.

Niech mówią fakty. Nieucywiliżowani indjanie, wyrzutki społeczne, przewodnicy-przyjaciele, którzy się z żalem opuszczają, dyplomaci, oficerowie, konsulowie — cały ten świat jest dla Lepeckiego pretekstem do gestów energii.

Literacka obróbka „W sercu Czerwonego Ładu“ jest bardzo dobra. Specjalnego pieprzyku dodają jej egzotyczne tytuły rozdziałów. Wydanie książki bardzo staranne i ładne.

**

O. Henry. „Revolucja i miłość“. *Przekład autoryzowany*. Warszawa, „Biblioteka groszowa“. (1928).

Jest to pod względem technicznym niezwykła książka. Henry jest autorem ogromnej ilości nowel, odznaczających się przede wszystkim bardzo ostrą

pointe'a, i jedynej powieści p. t. „Rewolucja i miłość“. W przeciwieństwie do nowel, „Rewolucja i miłość“ do samego prawie końca pozostaje jakimś chaotycznym, niezorganizowanym stworem, zlepką kilkunastu opowiadań, które możnaby czytać zoddzielna. Dopiero ostatni rozdział rzuca tak ostre i przejmujące światło na całość, że ze zdumieniem przyglądamy się temu nieomal cudowi.

Rzecz dzieje się w jakimś południowo-amerykańskim państewku — Anchurji, przypominającym ni to Meksyk, ni to Boliwię, coś w guście stevensonowskich Czech. I na tle bujnej, płomiennie rozróżnionej przyrody i flegmatycznego charakteru autochtonów ukazują się kilku jankesów, dzielnych, mocnych mężczyzn, wpłątanych w przedziwne sprawy miłości nie do przewyciężenia i stałych rewolucyjnych zamieszek tego kraju. Mieszkańcy Anchurji, może dzięki swej mieszanej krwi, nie potrafią dłużej niż przez rok, dwa lata wytrzymać pod władzą jednego rządu. Zmiany rządu przeprowadza zawsze rewolucja, najczęściej bezkrwawa, będąca zawsze dziełem intrygi, polityki i taktyki kilku zaledwie osób. Ciasnemu temu zakresowi towarzyskiemu odpowiada też i wąska scena: nadmorska miejscowość Coralio, rodzaj letniej rezydencji prezydentów Anchurji. Przez to zwięźlenie pola działania, powieść nabiera charakteru pierwszorzędnej satyry.

Trudno w krótkim sprawozdaniu zanalizować całą ostrość i swobodę tej powieści. Pozostaje tylko odesłać do niej czytelnika.

H. D.

ODPOWIEDZI G Ł O S U P R A W D Y

J. F.: Dziękujemy za zaufanie. Przeczytaliśmy i —nie rozumiemy tego ustępu. Ani wogóle powodu pisania takich rzeczy. Jeżeli ma to być wstęp do pracy nowelistycznej — to jest zbyt rozwlekły i bardzo słabo napisany. Jeżeli chodziło Panu o przeprowadzenie jakichś zagadnień społecznych — trzeba było napisać artykuł. W nadesłanej prozie uderza znamieny brak: Brak stanowiska. Nie zdaje sobie Pan sprawy z jakiego punktu widzenia zabrać się do tematu? Jakgdyby nie wiedział Pan, że obrawszy pewien punkt — nie może go Pan dowolnie zmieniać. Słowem, rzecz zupełnie niedojrzała i w przeprowadzeniu i w koncepcji.

B. Z. Sosnowiec: Oba wiersze świadczą o żywej oryginalnej zdolności, ba — może o rzeczywistym talencie. Tem więcej obowiązuje Pana świadomość przy pracy, parządek porównania i jego doniosły sens, wreszcie płynność rytmów, tak nieuporządkowanych jeszcze. Z tych względów — właśnie, wierszy, które nam Pan nadesłał nie wydrukujemy. Niech się Pan tem nie zraża. Radzimy przeprocować jeszcze raz wiersz o hucie. Usunąć stamtąd rzeczy nieistotne,

zamknąć cały opis w porównaniach koniecznych. To znaczy najbliższych modelu w sensie plastycznym, a równocześnie najbardziej sugestywnych.

Adam D. Skierniewice: Wierszy tego rodzaju otrzymuje redakcja całe setki. Świadczą one chlubnie o wielkiej miłości całego ludu polskiego do umiłowanego Wodza J. Piłsudskiego. W drugiej sprawie, o którą Panu chodzi nie możemy na razie pomóc. Wszystkie miejsca obsadzone. Wciągnęliśmy nazwisko pańskie do skorowidza naszego, o ile byłoby coś wolnego dany znać. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Em. Bor.: Nadesłana nowela o wiele lepsza. Będziemy drukowali. Przyznajemy, iż temat „mniejszy“, łatwiejszy, może jednak dzięki temu udało się Pani związać go skomponować lepiej, niż poprzedni. Serdeczne życzenia udanego debiutu.

OŚWIADCZENIE

Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie stwierdza, że p. Eugeniusz Schummer, korespondent „Świata“, „Kurjera Polskiego“ i innych pism:

1) z artykułu prof. Stefana Srebrnego w czasopiśmie „Źródła Mocy“ Nr. 3 z r. b. cytował w podpisanym przez siebie artykule w „Świecie“ Nr. 6 z dn. 11 lutego r. b. zdania i ustępy, nie zaopatrując ich w cudzysłów;

2) w „Tygodniku Ilustrowanym“ Nr. 9 z dn. 3 marca r. b. podpisał swoim nazwiskiem artykuł p. t. „Pomniki architektury wileńskiej“, którego całość, poza pierwszemi kilkunastoma wierszami i odosobnionemi zwrotami, jest dosłownie przepisana z przewodnika krajoznawczego p. t. „Wilno“ prof. Juliusza Kłosa, bez zaznaczania źródła;

3) w szeregu innych artykułów i notatek przepisywał cudze teksty, zaopatrując je własnym podpisem, a nie podając źródeł.

Widząc w powyższych faktach systematyczne, karygodne naruszanie własności autorskiej, Związek Zawodowy Literatów Polskich w Wilnie uważa za swój obowiązek podanie ich do wiadomości publicznej.

Wilno, dnia 12 marca 1928.

Zarząd Związku Zawodowego Literatów
Polskich w Wilnie:

(—) Stanisław Pigoń.

(—) Hel. Romer-Ochenkowska.

Prezes Wiceprezes

(—) Kazimierz Leczycki.

(—) Witold Hulewicz.

(—) Tadeusz Szeligowski.

Sekretarz.

Skarbnik.

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICYŃSKI

Drukarnia „Literacka“ Nowy Świat 22.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem